Świat powieściowy Nr. 3.

SZALONA GŁOWA

przez

M. Th. Bentzon.

III.

Owi najserdeczniejsi Jana d'Erquy; ci, którym się zdawało iż go znają na wylot, bądź dla tego, iż mu zazdrościli tryumfów i szalonego powodzenia, bądź iż od lat dwudziestu kilku używali i nadużywali z nim pospołu wszelkich życia uciech i przyjemności, nic właściwie nie wiedzieli o człowieku, który się ukrywał w ciele dzisiejszego sławnego autora; ani się domyślali w jak ciasnem kole obracał się niegdyś ten uprzywilejowany, jak go nazywali znajomi i przyjaciele, ile musiał znieść, ile przełamać zapór i trudności aby rozwinąć swobodnie skrzydła do lotu i poświęcić się zawodowi dramato-pisarza. Nic na wierzch nie wypłynęło z burz owych, z walk tajemnych które stoczyć musiał w pierwszej młodości ze swojem najbliższem otoczeniem i w którem zahartował się duch jego, spotężniał talent wrodzony, życie całe popłynęło wstecz odwiecznej tradycji w rodzie d'Erquy'ch, na przekór woli macierzyńskiej, na zgorszenie najwyższe całej rodziny. Zjawił się najprzód i dał się poznać Paryżanom, bądź w budoarze, bądź w loży Laury Cohen. Zrazu grał tam rolę dość podrzędną, nie mógł jednak przejść niepostrzeżenie, bo jeden drugiemu powtarzał na ucho, iż ten milczący paratjanin, niezgrabny i nieśmiały, jak z pozoru osądzano, o kształtach potężnych młodego Herkulesa; że ten młodzik słowem potrafił zdobyć serce i stale do siebie przywiązać bóstwo kapryśne, przyzwyczajone do wiecznych hołdów i kadzideł, którego dzikie wybryki i fantazje przechodziły z ust do ust, niby rodzaj legendy ciekawej. I w chwili obecnej wielka, sławna tragiczka odepchnęła ze wstrętem ofiarę serca i ręki bankiera, składającego miljony u jej stópek maleńkich i miłość męża stanu znanego w całym kraju, a nawet i poza tegoż granicami, osobistości mającej nader rozległe wpływy i stosunki. Doświadczenie kobiety trzydziestoletniej i w dodatku artystki dramatycznej, nie było jednak tarczą dość silną, ażeby ją zasłonić i ostrzedz o niebezpieczeństwie namiętności tak wyłącznej, która wszelkie jej władze umysłowe pochłaniała i opanowała. Przywiązała się gwałtownie i z zapałem do tego młodzieniaszka napotkanego przypadkiem podczas corocznej po kraju objażdżki z występami gościnnemi, w jakimś zapadłym kącie Bretanji kiedy i gdzie? o tem właściwie nikt dokładnie nie wiedział. Mimo nader skromnego ułożenia, mimo iż starał się niejako zawsze na drugi plan usuwać i nikomu się nie narzucał, młodzieniec budził zazdrość szaloną w licznej zgrai wielbicieli Laury, zazdrość z przymieszką lekceważenia, niemal pogardy. Naraz po dwóch latach niespełna cichy i niepokaźny chłopczyna, adorujący bóstwo zdaleka, przemienił się w autora znakomitego. Pierwszy jego występ był tryumfem, na jaki niejeden dramaturg czeka latami i do końca życia długiego doczekać się nie może. Z dziś na jutro, ów Jan d'Erquy, przez wszystkich dotąd pomijany, zdobył stanowisko świetne i niezależne, otoczył go tłum przyjaciół, dworaków i pochlebców, a każdy z nich teraz utrzymywał, iż przeczuł w nim od dawna talent genjalny. Wybór Laury otrzymał sankcję ogółu i słuszność jej przyznano najzupełniejszą. Odkryto, iż ten nieznajomy posiadał nazwisko starożytne i majątek wcale niepośledni, czem atoli nie myślał pysznić się i paradować, chcąc blask wszelki samemu sobie zawdzięczać, pracując w cichości, kryjąc się skromnie ze wszystkiemi przymiotami i tytułami, aż do chwili tryumfu, tem głośniejszego im mniej się go ktokolwiek spodziewał. Osobistości z życia wzięte najwidoczniej i artystycznie w jego komedji społecznej odfotografowane, nadając jej werwę niesłychaną, udały naturalnie, że siebie bynajmniej nie poznają. A jednak autor te typy zbliska i najdokładniej wystudjował; każdy z nich stanowił całość zaokrągloną, charakter niezrównany, wzięty bądź z życia w Paryżu, bądź z prowincji. Nie darmo tak długo milczał, trzymając się w cieniu i na uboczy; chował ku lepszemu użytkowi błyski dowcipu, owe cięte półsłówka, któremi od razu sławę zdobyć można. To *niewiniątko* było w końcu nielada figlarzem!... figlarzem genjalnym co się zowie!... To sprawdziwszy, nie pytano się dłużej, skąd pochodzi i kto rodzi mistrza, którego krytyka wynosi pod niebiosa, a sztukę jego grają dzień po dniu sto razy!... Nie tracono czasu na ścisłe badanie jego przeszłości. Jan d'Erquy przedstawiał przyszłość, przyszłość świetną, oklaskiwaną z góry i przed którą ogół bił czołem nie troszcząc się o resztę. Byłoby to jednak niejednego zaciekawiło, gdyby mógł był zbadać i wyśledzić, gdzie i w jak twardych warunkach stawiał pierwsze kroki ów mistrz słowa, prowadzący ręką wprawną intrygę dramatu, manewrujący stworzonemi przez siebie charakterami i sytuacjami, niby wódz biegły armją doskonale wyćwiczoną. Spędził oto pierwszą swoją młodość w grobie niemal, w ustroniu do którego echo nawet nie doszło spraw światowych, kierunków i prądów dzisiejszego społeczeństwa.

Zamek w Ville-Revault w którym się urodził, wśród gór i borów posępnych zbudowany, na kończynach departamentu Finistérre, zdala od miast i zgiełku światowego; przypominał smutkiem ponurym otoczenia, ów drugi zamek w Combourg, który cień rzucił i zaciężył w życiu innego Bretończyka, Chateaubriand'a, z tą atoli różnicą, iż Jan d'Erquy nie szukał pociechy w położeniu nieszczęśliwem, w chorobliwem zniechęceniu, w melancholji poetycznej tego który stworzył *René* i *Atalję*. Jan nie potrafił utonąć w marzeniach, wywoływać w głębi wieży, gdzie zbieg wypadków trzymał go niemal uwięzionym, rodzaju czarodziejki, istoty pięknej na wzór *Velledy;* on nie wzdychał do puszcz samotnych; jego właśnie pociągał wir uciech świątecznych, on pragnął gwaru i rozgłosu w takiej jak Paryż stolicy. Jego usposobienie skłaniało się raczej do buntu, niż ku zniechęceniu apatycznemu. Postanowił nie kłaść światła pod korzec, nie zmarnować sił które czuł wrzące w głębi duszy z rozkosznem upojeniem i trwogą zarazem; w jaki sposób jednak ma te siły wyzyskać i spożytkować? Matka jego wdowa i nauczyciel, stary *Labuś*, karmiący dotąd ducha zapleśniałego, numerami „Białej chorągwi“ i dziennika *La Quotidienne*, które z czcią religijną zachowywał, po raz setny wertując i odczytując, przedstawiali mu jako karjerę jedyną zajęcie dziadka, który dał się zabić w ruchawce na cześć księżnej Berry, lub stawiając mu na przykład pradziadka, współzawodnika w męstwie nieustraszonem takich bohaterów jak La Rochejaquelain, a którego rozstrzelano ostatecznie pod Quiberon. O jego ojcu nieboszczyku, jak najmniej wspominano. Jan-Herve margrabia d'Erquy był także w pierwszej młodości ostatnim z *Szuanów.* Po uwięzieniu atoli księżnej Berry, nie mając się czego jąć, nie widząc celu przed sobą, z rozpaczy, aby odurzyć się w zapędach wojowniczych, bądź polował bez końca i miary, bądź też gdy w żaden sposób polować nie mógł, topił smutki i rozum w kieliehu gorzały poprostu starając się gorliwie w dodatku o pomnożenie ludności w wioskach do niego należących i uszlachetnienie przyszłych pokoleń za pośrednictwem najmniej brzydkich z pomiędzy otaczających go wieśniaczek, dla których pałał z kolei żądzą o tyle dziką i namiętną, o ile ulotną i nietrwałą.

Czy i o ile czuła się margrabina d'Erquy nieszczęśliwą?... o tem się nikt nigdy nie dowiedział. Zazdrość, poniżenie, wstręt dla pijaka i bezczelnego rozpustnika, najgorsze grubiańskie obchodzenie się z żoną własną, wszystko to składała w ofierze u stóp Boga nieubłaganego, którego dłoń smagać jej nie przestawała. Nabożność jej ponura mająca w sobie niemal coś dzikiego, wywołała w duszy surowość bez granic, zaszczepiając w tejże wyegzaltowane do szaleństwa poczucie honoru i obowiązków, co w pierwszej linji miało się dać uczuć boleśnie jej własnym synom. Nigdy się nad tem nie zastanowiła, co właściwie popchnęło jej męża na drogę tak opłakaną?... Dla czego po upadku sprawy monarchów z łaski Bożej, nic więcej nie widział przed sobą, prócz kieliszka i zwierzęcego chuciom dogadzania? Nie pomyślała, iż trzebaby synom, idąc z prądem a nie płynąc mozolnie pod wodę, dać inne wychowanie, rozszerzyć cokolwiek ciasny horyzont w którym ich praojcowie się obracali, otworzyć przed nimi owe pole do czynów świetnych, do walki życie zajmującej, kształcąc ich umysł w akademjach publicznych, stosownie do wymogów dzisiejszego ustroju społecznego. — Gdyby jej mąż nieboszczyk mógł być czemś więcej niż dziennym praktykantem, strzelającym na wszystkie strony i rąbiącym zaciekle i na oślep braci własnych, jak on Francuzów, dla tego, że mu tak kazał czynić fanatyzm Rojalisty; gdyby był się czegoś więcej nauczył, byłby na pewno nie szukał pociechy na dnie flaszki z absyntem. W gruncie, mimo wygórowanego nabożeństwa, była bez litości na wszelkie cudze cierpienia. Ona sama tyle bolów krwawych zniosła, łzy do ócz się cisnące gwałtem powstrzymując i w głębi serca kryjąc, iż niemal skamieniała. Życie na tym płaczu padole jest jednem pasmem cierpień i męczeństwa, rzecz całkiem słuszna i sprawiedliwa, skoro Bóg w nagrodę dla tych, którzy walecznie wytrwają, Niebo zgotował!

Aby na te niebiańskie rozkosze zasłużyć, pani d'Erquy była i miłosierną, ale po swojemu. Materjalnie, niosła pomoc w każdym wypadku chorym, biednym i zgłodniałym. Według potrzeby rozdzielała chleb, drzewo, ubranie i bieliznę uszytą własnoręcznie; sama chodziła po chatach z maściami i lekarstwami rozmaitemi, strzegąc atoli jak od ognia tych prostaczków, jeżeliby ktoś był powziął myśl bezbożną (według jej pojęć) i chciał wpuścić promień światła w te głowy wieśniacze pełne przesądów, zabobonów a zresztą puste jak stodoła w której prócz śmiecia, ani zdrowe ziarno nigdy nie postało. Wszelkie szkoły miały w niej przeciwniczkę najzawziętszą; nauka była według jest zdania rozkładem społecznym, motorem do wszelkich przewrotów i krwawych rewolucji. Jeżeli cała niemal szlachta francuzka wyginęła pod gilotyną, jeżeli zakonnice rozpędzono na cztery wiatry z klasztorów, istnienia Boga zaprzeczano, królów mordowano, to wszystko li z tego powodu, iż lud za wiele czytał i niepotrzebnie go myśleć nauczono. Niczem i nikt by jej był tego nie wyperswadował, że w książkach można znaleść i zdrowe ziarno obok kąkolu. Nie! nie! skoro się otworzy, jedno z tych dzieł szatańskich, naraża się umysł na zbłąkanie, ryzykuje się utratę cnoty, wiary szczęścia i spokojnej myśli, a co najgorsze, wiecznego zbawienia! Takiem było jej najgłębsze przekonanie, które gorliwie krzewiła w kącie zapadłym niższej Bretanji w pośród ludności i tak aż nadto zabobonami rozmaitemi osłupiałej i co się tyczy rozwoju umysłowego, przeraźliwie zacofanej. Dwaj synowie Marjan i Jan, byli wychowani jako szlachcice od przodków nieodrodni, którzy pójdą lada chwila z bronią w ręku, bodaj pod

obce sztandary, skoro w własnym kraju służyć im nie wypada pod rządem obecnym. Wszelkie przymioty, wymagane za czasów Ligi honorowej, wszczepiano im gwałtownie z ujmą najwyższą takich, których żąda i wymaga dzisiejszy prąd społeczny. Marjan wcale nie protestował przeciw tego rodzaju naukom; był on z rodu Centaurów szczęśliwy i zadowolony, skoro mu pozwolono galopować bez przerwy po łąkach i polach z niespożytą siłą fizyczną, z duszą spiącą snem sprawiedliwego! Matka wcześnie go ożeniła, w czem także najchętniej poddał się jej woli, i tak się wiernie i szczerze przywiązał do narzuconej mu życia towarzyszki, jakby ją był sobie sam wybrał. Taki sam los czekał Jana, którego gwałtem w zapędach poskramiano, jakkolwiek był z natury namiętny, niesforny i niełatwy do okiełznania:

„Zasłaniaj wcześnie oczy młodemu bykowi, żeby cię nie wziął na rogi.“

„Pętaj należycie źrebca młodego, aby cię gdy go dosiędziesz nie uniósł i w stawie nie utopił.“

Te przepisy wyjęte z dzieła: „Mądrość Bretanji,“ były wiecznie na ustach księdza Goff, i starał się takowe zastosowywać w zupełności i jak najczęściej w prowadzeniu powierzonych mu uczniów. Okazały się jednak niedostatecznemi co się tyczyło Jana osoby, ten bowiem nie znosił ani przepasek na oczach, ani pęt nogi krępujących. — Babilon nowożytny — jak później powtarzał nieraz mentor zrozpaczony, — Babilon czekał, aby pochłonąć niewinnego dotąd młodzieniaszka!

Przypominał sobie poczciwy księżyna Jana zabawy ulubione z marjonetkami własnego wymysłu w kryjówce na strychu, którym kładł w usta z kartonu djalogi rozmaite, zdradzające przewrotność przedwczesną i grzeszne myśli rozwbujane. Ręką dziecięcą nie prawną, umiejącą stawiać zaledwie koszlawe litery, już kreślił złośliwe satyry, podpatrując cudze śmieszności i słabostki, nie jedno *pensum* za to otrzymawszy, iż smarował całe arkusze papieru wierszydłami. W owych djalogach, ksiądz Goff, grał zawsze rolę o tyle wstrętną, o ile była śmieszną ta figura w karykaturze przedstawiona. Te próby Muzy dziecięcej były niejako zawiązkiem i przepowiednią przyszłego gieniuszu dramatycznego. Jan wszystko instynktowo odgadywał, co przed nim ukryć chciano, lekcję każdą brał na wspak i zadawał nieszczęśliwemu mentorowi pytania najdziwaczniejsze, które mu najniezawodniej ów lew ryczący podszeptywał! Z biblioteki zamkowej, mimo iż była zawsze na klucz zamykana, umiał zwędzić raz po raz dzieła, niosące w łonie truciznę najstraszniejszą, wyzywał samochcąc niebezpieczeństwo, w każdej zaś dyspucie, szatan udzielał mu takiej siły retorycznej, sypał jak z rękawa argumentami tak dosadnemi i logicznemi, iż mógł niemi skusić nawet świętego!

Matka, przed którą *labuś* co dzień skargi rozwodził na chłopca krnąbrność niepokonaną, używała środków najsurowszych póki się tylko dało. Spostrzegłszy iż takowe nietylko nie skutkują, ale złe powiększają, wymyśliła sposób inny, na pomoc przyzywając wpływ spoczywający właśnie w niesłychanej pobłażliwości, który zdawała się wywierać na młodzieniaszka towarzyszka lat dziecięcych, a przytem najbogatsza dziedziczka w całej okolicy. Piękną Nonę de Kerlan, ściągano do zamku pod różnemi pozorami i w końcu rad nie rad, uczeń krnąbrny księdza Goff, byłby może pozwolił się okiełznać tym rączkom bielutkim i delikatnym, i byłby się dał przykuć węzłami nierozerwalnemi do ogniska domowego, na wzór brata starszego Marjana, gdyby w chwili kiedy się najmniej tego spodziewał, zawód, o którym wiecznie marzył w ducha skrytości nie był mu się przedstawił w formie niesłychanie nęcącej, w postaci tak czarownej, iż nie zdołał się tym razem oprzeć pokusie.

Dziennik departamentalny zapowiedział przedstawienie nadzwyczajne w teatrze w Brest. Laura Cohen, której sława doszła nawet do ustronnej i zacofanej pod każdym względem Bretanji, miała tamże wystąpić raz jeden, ona, najpiękniejsza ze wszystkich, *Hermoin Fedr. Chimen*, w dramacie tegoczesnym, napisanym dla niej specjalnie i który umiał podnieść i wyzyskać jej grę znakomitą i zalety niezrównane. Jan postanowił być w teatrze dnia tego; spełnił zamiar, zobaczył wielką artystkę i rozgorzał jednocześnie miłością namiętną, jak i chęcią szaloną pójść za głosem tajemnym, który mu wiecznie podszeptywał, iż jego przeznaczeniem jest zostać autorem dramatycznym. Objawienie drzemiącego w nim talentu i powołania, tak się ściśle złączyło z uwielbieniem dla Laury, iż już w żaden spoób jedno bez drugiego istnieć by nie potrafiło. Wielkie serce, pomyślał, musi iść w parze z wielkim gieniuszem; ta kobieta, ta Muza może i zechce mu dopomódz! Z odwagą naiwną pierwszej młodości, która nie wierzy w żadne niepodobieństwa, docisnął się do niej i zmusił niejako, że go wysłuchać raczyła. Uczucie namiętne młodego Bretończyka, z którem w słowach płomiennych spowiadał przed się nią, wywołało zrazu uśmiech na usta Laury; to co jej mówił o swoich dumnych planach na przyszłość, o rozpaczy ogarniającej go, o nieznośnej i dotkliwej niewoli ducha jego na każdym kroku krępującej i ubezwładniającej, zainteresowało artystkę; przypomniała sobie własny, pierwszy występ i przeszkody, które zwalczać musiała. I jej w karjerze artystycznej stała na zawadzie zawiść i złość ludzka, brak zrazu potrzebnego wykształcenia i nędza poprostu, najstraszliwsza zapora do wszystkiego! Ona bez niczyjej pomocy na wierzch wypłynąć potrafiła, podobała jej się jednak nastręczająca rola Opatrzności. Może odczuła i wyczytała na tem jasnem czole piętno genjuszu, który bądź co bądź przed świat się przebija i palmę sławy zdobywa — czy porożach, czy po cierniach, iść mu po nią wypadnie. Sytuacja zresztą, przedstawiała się nader oryginalnie... Jan nie był podobny do nikogo, fiksacją jego było szaleństwo dość rzadkie i nader sympatyczne. Wyśmiewając go zrazu, znakomita artystka zwolna, zwolna dała się przekonać i rozczulić; to dziecię błagało ją z całą wiarą niby bóstwo wszechwładne, które dzierży w dłoni jego szczęście i sławę, czemuż by nie miała próśb jego namiętnych wysłuchać? Koniec końców, Brest opuszczając, między innemi manatkami, uniosła również w pole od płaszcza królewskiego rozkochanego młodzieniaszka, i nigdy już odtąd Jan d'Erquy progów zamku rodzinnego nie przestąpił, gdzie wszyscy spali snem odwiecznym, z którego on jeden otrząść się potrafił.

Boleść margrabiny d'Erquy, boleść chrześcijanki, Bretonki i matki była tak bezdenną, iż wieśniacy ujrzawszy ją nagle osiwiałą i w pół zgiętą pod ciosem nad siły, tę kobietę dotąd piękną i młodą, której kibić zawsze smukła, była jak świeca wyprostowana; widząc zmarszczki przedwczesne i cerę żółtą, chorobliwą na twarzy tak niedawno świeżej i gładkiej: oświadczyli unisono, — „Iż ktoś urzekł ich dobrą panię i krew w niej przewrócił!“

Biedna matka użyła i wyczerpała wszelkie możliwe sposoby, aby nawrócić z drogi „Syna Marnotrawnego!“ Próbowała próśb usilnych, napomnień, klątw wreszcie i złorzeczeń, wszystko atoli nadaremnie. Zaniechawszy wreszcie walki bezowocnej, zdała mu ścisły rachunek z majątku, który mu się po ojcu należał, (nie wypadało przecież aby d'Erquy, żył jak nędzarz w Paryżu, czy gdzie indziej) następnie wyrugowała go z serca, przywiązanego szczerze i czulej niż by mógł się kto domyśleć, sądząc o jej uczuciach macierzyńskich z pozornej, surowej nieprzystępności. Raz się tylko zdradziła z bolem serce rozdzierającym i dała poznać po sobie ile ją kosztuje ta straszliwa ofiara, gdy dnia pewnego, z kościoła po mszy świętej wracając, wzięła na łono wnuka jedynego, który lat pięć liczył, a gdy go okrywała namiętnemi pocałunkami, łzy płynęły obficie, rosząc malca jasne kędziorki. Dziecko zdziwione wytrzeszczyło na babkę oczęta.

— Kocham cię teraz za dwóch — szepnęła głucho, nie mogąc zapanować nad żalem głębokim i tak go przycisnęła do piersi, że aż dziecko się przelękło i ze swojej strony w głos się rozpłakało.

I w rzeczy samej, oddała wnukowi cały zapas czułości, na jaką zdobyć się tylko mogła, gorzko sobie nieraz wyrzucając, iż nigdy tejże Janowi nie okazała wbrew sercu własnemu dla tego, iż surowość bezwzględna wydawała jej się najświętszym w obec dzieci obowiązkiem.

— Kto wie? — pytała sama siebie po niewczasie — czy dobrocią i miłością nie byłabym więcej zdziałała?

Ale nie! byłby tak samo nadużył dobroci, jak drwił sobie z kar wszelakich i wyzywał do walki zuchwale całe swoje otoczenie. Jan był na wieki stracony! Utwierdziło ją w tem smutnem przekonaniu nazwisko d'Erquy'ch na afiszu teatralnym wydrukowane. Dotąd byłaby mu jeszcze mogła przebaczyć, gdyby okazał był skruchę i chęć poprawy, ową ucieczkę haniebną z domu rodzicielskiego i życie nierządne, miłość występną, która go w jej oczach potępiała; ten atoli ostatni grzech śmiertelny dopełnił miary nieprawości i nie mógł być niczem zmazany i odpokutowany! W rodzie d'Erquy'ch bywali rozrzutnicy i rozpustnicy, nawet pijacy, jak jej mąż nieboszczyk, żaden z nich jednak nie poniżył do tego stopnia wielkiego przodków nazwiska! Znaczyło to tyle, co sprofanować świętą relikwię! Margrabina nie byłaby więcej zgorszoną, dowiedziawszy się, iż syn wystąpił na scenie w własnej osobie. Czy miał następnie zbierać oklaski, czy być haniebnie wygwizdanym, to już było dla matki zupełnie obojętnem!

Laura jednak upodobała sobie rolę bóstwa opiekuńczego i bawiła się dalej z zapałem w czarodziejkę dobrotliwą. Była we wszystkiem Jana mistrzynią. Ona go zapoznawała ze sztuki tajemnicami, ona wprowadziła do świątyni muzy Melpomeny. Miłość ich wzajemna dostarczyła wątku do pierwszego dzieła scenicznego, jak to zwykle się zdarza autorowi początkującemu, iż w własnem życiu, przygodach i cierpieniach szuka natchnienia. Dramat „Rafaelina“ nie był jeszcze jednem z owych arcydzieł, malujących świetnie i dosadnie wady i śmieszności społeczne. Uderzał atoli nowością sytuacji, rozgrzewał i wywoływał w publiczności zapał namiętny, bo sam był przeniknięty świętym ogniem talentu genjalnego, bo go owiewał czar dziwny młodocianej naiwności i niedoświadczenia, prowadząc widzów zupełnie innemi drogami niż był gościniec, po którym iść zwykli autorowie rutynowani. Jeżeli jednak sztuka jakkolwiek znakomita, nie czekała na przedstawienie miesiącami, a czasem i latami, jeżeli uniknęła szczęśliwie owego „pyłu zapomnienia“, w którym toną najczęściej pierwsze manuskrypta nieznanego autora, to już było zasługą czarodziejki. Jednem skinieniem rószczki swojej, usunęła wszelkie przeszkody i zapory, które lubią przeszkadzać każdemu młodemu talentowi, i o które bardzo często rozbija się i ginie na wieki natchnienie autorskie. Wprowadziła Jana w świat, w którym zdolności jego wrodzone mogły rozwinąć się najszybciej i najgruntowniej. Jednocześnie bramy wszystkich teatrów, jakby na znak dany, same się przed młodzieńcem na oścież otwarły; czuwała nad każdym jego krokiem troskliwość najczulsza, niemal macierzyńska, usuwając z drogi

cierń wszelaki. Stało się wreszcie, iż kobieta szczerze kochająca, a więc gotowa każdej chwili poświęcić siebie dla mężczyzny, zabiła w Laurze prawdziwą artystkę, której naturalnem powołaniem być powinno samolubne zasklepienie się w własnem powodzeniu i życie li dla sztuki.

Ta historja choć bardzo świeżej daty, przypomina jednak legendę odwieczną o nimfie wodnej, dotąd zwodniczej i niebezpiecznej, jak wszystkie do niej podobne rusałki, która wreszcie przywiązała się szczerze do pewnego śmiertelnika. Każdego wieczora opuszczała pałace krzyształowe na dnie jeziora, aby uczyć kochanka nowych pieśni, nowych bajek, nowych igraszek; każdego: wieczora coraz dłużej i dłużej z nim się zabawiała, aż nareszcie zapomniawszy zupełnie o godzinie przepisanej, kiedy miała stawić się z powrotem u tronu monarchy, wciągając w toń zdradną ukochanego, zniknęła na zawsze ukarana za wiarołomstwo; na brzegu zaś została po niej tylko krwi kałuża. Po Laurze zostało coś innego; biedna mała duszyczka zbudzona do życia namiętnością płomienną, która ją całą strawiła;. dzieciątko, które urodzeniem swojem matkę przedwcześnie w grób wtrąciło. Laura nie była widocznie do cierpień stworzona, do cierpień tak zwykłych u innych kobiet.

Stan, nazwany „błogosławionym“ u niej rozwinął suchoty galopujące, chorobę, której zawiązek od dawna w łonie nosiła. Śmierć ją sprzątnęła w latach trzydziestu pięciu, kończąc nagle życia poemat, wyczerpujący wszelkie rozkosze i uniesienia, które kobiecie dać może zawód artystki przez publiczność ubóstwianej, uczucie dumy ze sławy zyskanej i koronę tego wszystkiego, upojenie miłością wzajemną, podzieloną, gotową każdej chwili złożyć u jej stóp rękę, majątek i nazwisko d'Erquy'ch starożytne. Jeszcze dni kilka, a byłaby może z bolem dostrzegła pierwszy włos siwy, pierwszy zmarszczek na pięknem licu, byłaby z trwogą śmiertelną uczuła, iż starzeć się zaczyna nawet w oczach kochanka, o tyle lat od niej młodszego; byłaby wiecznie truchlała, czy nie zechce stać się jej niewiernym, byłaby może doświadczyła z jego strony przesytu i niewdzięczności; w sam czas zatem umarła, zostawiając tak światu jak i temu sercu jednemu pamięć niezatartą sławy, potęgi i blasku pięknej, czarownej Laury! Śmierć jej zresztą dopełniła dzieła, któremu ostatnie lata była poświęciła: boleść wielka, na wskróś przenikająca, była iskrą nieśmiertelną, potęgującą do stopnia najwyższego talent przez nią odkryty. Zamknięty całemi miesiącami po stracie olbrzymiej, po ciosie, który go spiorunował, Jan został tym, jakim go później znano. Zamknął się li z pracą, za całe towarzystwo; praca mu też była najmilszą w smutku głębokim towarzyszką i jedyną pocieszycielką. Wielce go także koił i rozrywał widok pozostałej sierotki, Lorci malutkiej. Ta dziecinka drobna i delikatna miała mu odtąd zastąpić całą rodzinę i wszelkie rozkosze miłości, których mu nagle zabrakło.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ZBRODNIA AURELEGO

przez

Wiktora Perceval.

(Ciąg dalszy.)

— Skorośmy te wszystkie punkta wyjaśnili i tyś się z nich ile tyle usprawiedliwił — zaczął hrabia nader uroczyście — pozwól, że ci zadam eszcze jedno pytanie... bardzo przykre! chciej mi wierzyć!.,. Między nami mówiąc, młodzież męska przyzwyczaiła się traktować nader lekko podobne wybryki, w czem bardzo błądzi; śmieją się z tego po części, chełpią się niemal, jakby czynem bohaterskim, otaczają się tych chwil wspomnieniem niby rodzajem aureoli aż do dnia, w którym przebierze się miarkę, narażając na szwank honor własny i cześć kogoś drugiego... Bywają wypadki, że nie możemy patrzeć się na coś podobnego obojętnie... jak ja naprzykład na tę całą sprawę... Pan Berthier jak wiesz, narażał siebie bez wahania, byle ojcu mojemu życie uratować, wszak przysługa tego rodzaju nakazuje mnie jako synowi wdzięczność dozgonną, nieprawdaż?...

— Dokąd dążysz z twoją eksortą całą? — przerwał mu Aureli zdumiony tonem patetycznym — przyjacielu.

— Gdyby Eglantyna miała brata — Albert nie dał się zbić z tropu — jemu bym zostawił troskę co do tej sprawy drażliwej. Los tak zrządził, iż kapitan w moje ręce oddał takową, na tym więc punkcie, muszę pozostać nieubłaganym i żądać od ciebie na serjo ścisłego rachunku pytając bez ogródek: Coś uczynił z panną Berthier?

— Co z nią zrobiłem? A to szczególne pytanie!

— Żeś chciał się dowiedzieć na pewno, czy jesteś szczerze kochany i gogodzić twojej własnej osobie — Albert nie opuszczał tonu kaznodziejskiego, wpadając w zapał coraz większy; — żeś sobie dał czas, aby ci się serduszko podbite nie wymknęło, że raz dostawszy się w ten labirynt, nie wiedziałeś którędy się z niego wydobyć, wszystko to jeszcze mogę sobie wytłumaczyć i przebaczyć w zupełności. Żeby jednak młodzieniec na twojem stanowisku, który potrzebywał li dłoń wyciągnąć uczciwie, aby ojciec włożył w nią z całem zaufaniem rękę córki swojej, zamiast tego, córkę ową wykradał i był przyczyną takiego skandalu, jestto niezręczność olbrzymia lub szaleństwo, wymagające porządnego, tuszem ochłodzenia!

— Ja! miałem wykraść pannę Berthier?

— A któż inny? — spytał Albert.

— Nikt, spodziewam się! Panna Berthier jest u siebie w Arcizac, dokąd ją sam odprowadziłem.

— Jednak, jeżeliś ją odwoził, to dla tego że..

— Że z domu wyjechała, nieprawdaż? — Aureli uzupełnił. — Przyznaję, iż na pierwszy rzut oka, komu nieznane towarzyszące temu okoliczności... Oto w dwóch słowach, jak się rzecz miała! poprosiłem o rękę córki pana Berthier...

— Zawsze pod mojem nazwiskiem?

— Całkiem naturalnie! z przedsięwzięciem jednak (co zresztą było nie do uniknienia) moją własną skórę... Kapitan odpowiedział ni tak, ni siak...

Odjeżdżałem do Paryża, gdzie pragnąłem tobie się ze wszystkiego wyspowiadać i prosić o łaskawe w tej sprawie pośrednictwo twojej babci najlepszej. Porozumieliśmy się z Eglantyuą, żeby nieopodal od domu, pożegnać się raz ostatni bez świadków niepotrzebnych... W tem jeszcze przecież nie było nic zbrodniczego!... Czekała mnie zatem w miejscu umówionem, ale niestety czyhał tam na mnie również rywal przez nią odtrącony: Ów tedy jegomość, Langlade, wziął mnie na cel poprostu i wpakował pomiędzy łopatki cały nabój śrutu!

— Jakto?! on zatem...

— Tak jest, mój drogi! Ten głupiec swojem wdaniem się w sprawę wszystko pogmatwał w sposób najfatalniejszy!... Eglantyna musiałaby chyba nie być kobietą, żeby mnie zostawić samego wśród drogi, ranionego i omdlewającego, na łasce pocztyliona!... uznała więc za świętą powinność, odprowadzić mnie aż do jakiegoś pewnego schronienia...

— Inaczej postąpić nie mogła.

— Gdyby nie strzał tego głupca Langlade'a — kończył Mareuil — byłaby natychmiast z lasku wróciła pod dach ojcowski, jabym się nie był w Tarbes zatrzymywał, nie byłbym się spotkał z księciem Limanow, ten nie byłby szukał ze mną owej bezsensowej zaczepki, o której ci już wspominałem, nie bylibyśmy się wyzwali i bili na szpady, słowem — dodał Aureli z uśmiechem złośliwym i tonem komiczno-tragicznym, nie byłoby możliwem nieszczęście największe, najstraszniejsze, nie dające się niczem naprawić!...

— I jakżesz to? — bąknął hrabia.

— Że zostanie wdową prawdobnie, piękna księżna Olga!

— Co Albert w tej chwili pomyślał o owem *nieszczęściu* spodziewanem, wiedzieć nie możemy.. wolno nam się tylko domyślać...

— Panna Berthier zatem jest w Arcizac, podczas gdy ojciec szuka jej w Paryżu?

— Tak jest mój drogi!

— Ty zaś trwasz stale w chęci tejże poślubienia?

— Więcej niż kiedykolwiek!

— Wszystko zatem w porządku, — wykrzyknął hrabia z tak wielką radością, iż był może do niej powód inny jeszcze... uboczny — Chodźże natychmiast! — porwał pod ramię Aurelego — i uspokój trwogę śmiertelną ojca biednego, który jest właśnie tutaj sam na sam z moją babcią, udając, że je z nią śniadanie. Powiemy mu i złożymy wreszcie dowody, iż jesteś w tej całej sprawie niewinny jak baranek i bielszy od śniegu

— Żem biały a raczej szary od pyłu, to pewna! — zawołał szczęśliwy młodzieniec, któremu nigdy nie brakło konceptu wesołego. — Możebym nawet powinien wprzód zajrzeć do siebie i zmienić ubranie, zanim się przedstawię pani margrabinie?...

— Mój drogi! gdy ma się być szczęścia zwiastunem, można się pokazać nawet w sukniach, pyłem przydrożnym okrytych!

XX.

Strzałem, wpakowanym w plecy temu, którego Langlade uważał za uwodziciela Eglantyny, dowiódł najzupełniej, jak był gwałtowny i niepohamowany w swoich zapędach.

Nic wprawdzie nie odpowiedział na zakaz najostrzejszy kapitana, żeby się nie śmiał więcej mieszać w sprawę, li ojca Eglantyny dotyczącą; w głębi duszy jednak, nosił się dotąd z zamiarem, wyzwać i bić się bądź co bądź z tym, którego uważał za hrabiego de Mortain. To zresztą przedsięwzięcie tłumaczył sam przed sobą i popierał następującemi argumentami:

W teorji ma się rozumieć kapitan stary, dzielny wojak, nie mógł dopuścić, aby ktoś obcy wyręczył go w pomszczeniu krzywdy córce jego wyrządzonej. Był zatem w prawie zakazać mięszania się w tę sprawę.

W praktyce atoli, on, narzeczony córki, gość codzienny kapitana, przyjaciel domu jak syn niemal przez niego uważany i to oddawna, zanim

jakiekolwiek były projekta połączenia go z Eglantyną, — czyż Fernand mógł, czyż powinien przypatrywać się z boku niby spektator obojętny z niemą bezczynną rezygnacją, jak się w gruzy rozsypuje cała budowa szczęścia jego w przyszłości?

Zapewne, gdyby oświadczyny były nastąpiły w sposób jawny i uczciwy, gdyby rywal szczęśliwy był walczył bronią godziwą, po rycersku, bez niecnych podstępów, gdyby nowy wybór Eglantyny był otrzymał ojca przyzwolenie, byłoby i Fernanda, powinnością usunąć się z widowni z delikatnością i rezygnacją człowieka honorowego.

W tej całej sprawie jednak, tak sądził przynajmniej, było nadużycie gościnności i zaufania, był naprzód ułożony plan cały nikczemnego uwiedzenia i zmuszenia nieubłaganym biegiem wypadków do tego, czegoby może nie był otrzymał na drodze legalnej. Miałże on, Fernand który padł pierwszy ofiarą tych niecnych intryg tego całego zawikłania siedzieć cicho w swoim kąciku bez zaprotestowania, szpady nie wyciągnąwszy? Dotknięty do żywego w uczuciach najgłębszych, będzie w dodatku za tchórza uchodził, wystawi się na pośmiewisko wszystkich znajomych! Rywal będzie miał prawo nazwać go aż teraz podłym zbójem, który umie strzelać zdradziecko z poza drzewa, ale nie ma odwagi wystawić piersi w walce honorowej na kulę lub ostrze szpady przeciwnika!

Nie! tak zostać nie mogło!

Wszystko to rozważywszy, szło już tylko o to, kogo w pole wyprowadzić. W tym też celu udał wszelkie poddanie się zakazowi kapitana, aby tem łatwiej uspić jego obawy i czuwanie nad każdym krokiem Fernanda.

Pójść poprostu do pałacu Mortain'ów i kazać się hrabiemu zaanonsować było trochę ryzykowne, bo nuż by się tam spotkał z panem Berthier!

Opóźniać się z chęcią rozmowy z Albertem w cztery oczy, znaczyło tyle, co czekać cierpliwie żeby kapitan kwestję bez niego załatwił, przecinając tak czy owak węzeł gordyjski.

W gruncie zdecydowany, ale wahający się jeszcze co do sposobów, za pomocą których dojdzie do celu, zaczął od tego, iż zajął stanowisko rekognoskujące naprzeciw pałacu Mortain'ów, w jakiejś niepokaźnej salce restauracyjnej.

— Ztąd mogę wszystko widzieć doskonale! — pomyślał.

Usiadł pod oknem, kazał sobie podać porcję kotletów, które udawał że je niby, i zasłoniwszy się pierwszym lepszym dziennikiem, bramy pałacowej z oka nie spuszczał.

Kiedyś przecie hrabia wyjść musi, wtedy wypadnie na ulicę i tak go znieważy publicznie, iż będzie musiał zniewagę w krwi obmyć.

Skoro taki będzie powód ważny do pojedynku, pan Berthier nie będzie mógł przeszkodzić takowemu i uważać go jako mięszanie się nieproszone w sprawy familijne.

Fernand domyślał się zresztą równej ochoty i u przeciwnika, skrzyżowania z nim żelaza morderczego. Jeżeli on chciał się zemścić na uwodzicielu Eglantyny, tamten musiał niemniej pragnąć ukarania śmiałka (używamy wyrazu najłagodniejszego) który pozwolił sobie strzelić do niego, niby do zająca poprostu.

XXI.

Po śniadaniu, margrabina z kapitanem, tylko co weszli jednemi drzwiami do salonu, gdy ze strony przeciwnej ukazali się na progu, Albert pod ramię z Aurelim.

Na ten widok, kapitan drgnął nerwowo i mimowolnie chwycił za rękojeść szpady.

Albert skinął ręką uspokajająco; i bez tego zresztą dzielny oficer pohamował się w pierwszym impecie, przypomniawszy sobie, pod czyim się dachem znajduje.

— Nie potrzebowałem szukać długo i daleko zbiega — Albert popchnął towarzysza w stronę babki, aby jak zwykle przystąpił do ucałowania jej ręki — biedny chłopczysko wpadł do mnie prosto z kolei, nawet z kurzu nie kazawszy się otrzepać!

— Przepraszam! — staruszka szybko rękę umknęła — zwykłam rękę podawać tylko moim przyjaciołom... nie wiem zaś czy mogę pana do ich rzędu zaliczyć.

— Babciu najdroższa! — wnuk czule ją uściskał — chciałaś ręczyć za mnie panu Berthier, ja znowu ręczyłem uroczyście za mojego druha serdecznego, Aurelego... I oboje mieliśmy słuszność zupełną. Zawinił tu właściwie zupełnie kto inny — Albert wybuchnął śmiechem wesołym, co sprowadziło rozmowę do rozmiarów zwykłej pogadanki.

— Któż taki? — spytała margrabina.

— *Primo:* sam pan kapitan — wnuk odrzucił żartobliwie — *Secundo:* miłość, lubiąca płatać figle najrozmaitsze.

— Ja?! — wykrzyknął kapitan, osłupiały na podobne oskarżenie.

— No! jest jeszcze i ktoś trzeci: pan Langlade mianowicie, ale o tym później pomówimy.

— Słowem! — wtrąciła staruszka ironicznie — iż według twojego zdania jeden pan de Mareuil nie zasłużył na zarzut w tej całej sprawie... Zobaczymy jak się myślisz z tego wywiązać...

— Niech pani margrabina będzie łaskawa nie wierzyć mu tak zupełnie! — odezwał się Aureli. — Potrzebuję i ja całej wybaczliwości pana Berthier, jednak...

— Ty bo sam nie masz głosu w tej sprawie — przerwał mu żywo Albert — skoro mnie obrałeś swoim prawnym obrońcą!

I zaczął opowiadać dowcipnie i porywająco cały przebieg wypadków, od przybycia Aurelego do Arcizac, aż nadto dobrze znanych.

Mina pełna skruchy, żalu i chęci szczerej naprawienia jak najrychlej winy popełnionej, którą przybrał Mareuil, rozbroiła od razu poczciwego kapitana, uszczęśliwionego, iż wszystko tak pomyślny obrót bierze i on nie potrzebuje okazać się zbyt surowym.

Margrabinie również twarz się wyjaśniała; w miarę jak Albert posuwał się dalej w opowiadaniu, nie mogła się nawet wstrzymać od uśmiechu, gdy wnuk wspomniał o podobieństwie uderzającem, które pan Berthier odszukał między Aurelim, a jego ojcem nieboszczykiem.

Skoro się dowiedzieli, że właściwie Eglantyna nie była nigdy wykradzioną i tego dnia samego wróciła pod dach ojcowski, pękły lody ostatnie.

Okoliczność ze strzałem zrehabilitowała ostatecznie pana sekretarza w ministerjum spraw wewnętrznych; wszelkie zaś gniewu pioruny, miały spaść na głowę Fernanda.

Przygnieciony wieścią fatalną o zniknięciu córki swojej, pan Berthier słuchał tylko pół uchem spowiedzi nader zresztą lakonicznej, z którą Langlade wystąpił co do swojej nieostrożności.

„Nieostrożność“, był to może wyraz nadto łagodnie określający czyn gwałtowny, którego się dopuścił nasz młodzieniec.

Obznajomiony teraz dokładnie ze szczegółami dotyczącemi owej zasadzki, kapitan mógł ocenić tejże ważność i mimo całej sympatji jaką żywił w sercu dla Fernanda, musiał zamach podobny na bezbronnego potępić wraz z innymi bezwarunkowo.

— Głupiec! — pomyślał kapitan. — Rzucał sam Eglantynę w ramiona rywala... Gdyby Aureli nie był takim na wskróś uczciwym człowiekiem i nie kochał tak szczerze mojej córki, jak fatalne następstwa mieć mogła ta podróż przymusowa!

Słowem z zeznania w wyznanie, nad wszystkiem dokładnie się zastanowiwszy, wszyscy podzielili wreszcie zdanie Alberta: iż w tej całej sprawie winowajcami właściwemi są: miłość, kapitan i Langlade.

Jeszcze chwilka a poczciwy kapitaś byłby gotów sam zacząć błagać o przebaczenie.

— Mój drogi, stary przyjacielu! — rozstrzygnęła kwestję tonem uroczystym margrabina — proszę cię o rękę panny Eglantyny, dla mojego drugiego wnuka po sercu, jeżeli nie po krwi, pana Aurelego de Mareuil, którego znałeś dotąd pod przybranem nazwiskiem Alberta de Mortain.

Kapitan otarł czemprędzej dwie grube łzy, które mu wzrok zćmiły, poczem otworzył ramiona, przyciskając do piersi z uczuciem ojcowskiem, zięcia przyszłego.

Ma się rozumieć, iż Albert w całem opowiadaniu przemilczał zupełnie wypadek z księciem Limanow.

Zostawał Fernand do ugłaskania. Podjął się usunąć go z widowni sam kapitan, licząc na zakaz surowy, który mu wydał zrana, i na zarzut nader wielkiej wagi, z którym miał wszelkie prawo wystąpić przeciw winowajcy.

Albert zatem pomógł wszystkim do odzyskania spokoju i równowagi; sam jeden tylko był wydany na łup mąk piekielnych, nie będąc pewnym, co się stało z księciem Limanow?

— Zostawiam cię mój drogi z przyszłym tatkiem — rzekł z cicha, biorąc na bok Aurelego. — Pan Berthier musi być spragniony zobaczyć się z córką jak najrychlej, i zapewne odjedzie jeszcze dziś wieczór. Aż do tej chwili nie powinieneś na krok go opuszczać. Musicie ułożyć między sobą dzień ślubu... Ja zapraszam się na drużbę ma się rozumieć, myślę nawet, iż zdołam babinę namówić, że się wybierze na ten akt ważny do Arcizac... nazwała cię przecież swoim drugim wnukiem!... Cały ten czas atoli stąpam niby po węglach rozżarzonych!... niepewność mnie dręczy okrutnie!... lecę do ciebie i jeżeli znajdę depeszę z Tarbes, pozwolę ją sobie rozpieczętować... wszak zgoda?...

— Ależ naturalnie mój drogi! rób co ci się podoba! Uprzedź łaskawie Józefa o moim przyjeździe. Wyprzedził mnie o kilka godzin, wioząc pakunki i musi się dziwić, że mnie dotąd nie ma.

Albert wytłumaczył się przed babką i kapitanem pilną sprawą do załatwienia w biurze ministerjalnem, poczem wyskoczył jak z procy z pałacu na ulicę. W górze jednak było zapisane, iż nie tak rychło jeszcze ma się dowiedzieć, jak ręka Opatrzności pokierowała losem księcia Limanow.

(Ciąg dalszy nastąpi)